

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50 Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. **Kraków, 6 lipca 1918.** **Nr. 26**

Powrót za Piavę.



Przeprawa wojsk austro-węgierskich przez wezbraną Piavę. (Woj. kwat. pras.)

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy trzeci kwartał XV-go roku naszego wydawnictwa, wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy też o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto do dnia **10 lipca b. r.** przedpłaty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	50 kor.	
Półrocznie	25 „	— hal.
Kwartalnie	12 „	50 „

Konieczne w stosunku do ogólnej drożyzny podwyższenie prenumeraty za kwartał bieżący zostało wywołane **rosnącymi wciąż kosztami wydawnictwa.** Z dnia na dzień **drożeje wszystko:** począwszy od papieru i farby drukarskiej, a skończywszy na tak kosztownych dziś a trudnych do zdobycia materyałach do wyrobu klisz, jak cynk, srebro i różne chemikalia.

A musimy tu podkreślić fakt, że prasa galicyjska znajduje się pod tym względem w szczególnie trudnem położeniu i musi walczyć z brakami, jakich nie znają **uprzywilejowane wydawnictwa niemieckie,** którym czynniki decydujące w państwie ułatwiają zarówno nabycie materyału technicznego, jak i pozyskanie fachowego personalu. Że w porównaniu z wydawnictwami niemieckiemi jesteśmy pod tym względem upośledzeni i musimy pokonywać wprost niebywałe trudności, nie nasza to już wina. Jedyną też pomocą, na którą w obecnych ciężkich warunkach mamy prawo liczyć, jest poparcie P. T. Czytelników, którzy — nie wątpimy — zrozumieją ciężkie położenie prasy polskiej w obecnej przełomowej chwili.

Pomimo tej ciężkiej sytuacyi wydawnictwo nasze miało nadzieję, że dzięki wzrostowi liczby abonentów uda się uniknąć w tem półroczu podwyżki prenumeraty. Ostatnie dni przyniosły jednak pod tym względem zawód. Szalona drożyzna środków żywności, a zwłaszcza zupełny brak chleba kartkowego spowodowały personal drukarski do postawienia żądań o wydatne polepszenie bytu, co pociągnęło za sobą **tak znaczne podwyższanie kosztów produkcyi, że wydawnictwo nasze, podobnie jak wszystkie inne wydawnictwa w kraju,** ujrzało się zniewolonem do uregulowania budżetu w taki sposób, aby „Nowości Illustrowane mogły dalej wychodzić Stać się to mogło jedynie w drodze **nieznacznego podwyższenia prenumeraty.**

Nie wątpimy, że Czytelnicy nasi, tak samo odczuwający ogólną drożyznę, zrozumieją **przymusowe położenie wydawnictw,** które w ten tylko sposób mogą w obecnych anormalnych warunkach **utrzymać swą egzystencyę i wytrwać na posterunku.**



Powrót za Piavę: Pozycye włoskie na terenie górskim w huraganowym ogniu. (Woj. kwat. pras.)



Powrót za Piavę: Kościół w Susegana, uszkodzony pociskami artyleryi włoskiej. (Woj. kwat. pras.)

Powrót za Piavę.

Gdy na Zachodzie nastąpiła znowu pauza w ofenzywie niemieckiej, punkt kulminacyjny działań wojennych przeniósł się na front włoski. Wojska austro-węgierskie rozpoczęły ofenzywę, która już w pierwszych dniach przyniosła poważne sukcesy. Wezbranie jednak wód na Piavie, którą wojska austro-węgierskie już były przekroczyły, skłoniło dowództwo armii do opróżnienia Monttello i stanowisk, zdobytych na prawym brzegu górnej Piavy.

Nastąpiło to — jak pisze korespondent „Neues Wiener Journal“ — w piątym dniu ofenzywy. Do kroku tego skłonił dowództwo armii austro-węgierskiej szereg przyczyn: połączenie między obu brzegami rzeki wskutek wysokiej wody było bardzo utrudnione, niepodobna było należycie zaopatrywać wojsk na zachodnim brzegu w amunicyę i prowiant. Wobec tego należało wojska te wycofać



Powrót za Piavę: Atak austro-węgierskiej kolumny szturmowej na włoskim froncie. (Woj. kwat. pr.)

z pozycyi nie dającej się utrzymać i przenieść je z powrotem na brzeg wschodni. Chodziło przytem głównie o oszczędzenie strat w ludziach. Decyzya została powzięta 20. czerwca, a wykonana w nocy z 21. na 22., bez zwrócenia uwagi nieprzyjaciela. To też operacyę udało się przeprowadzić bez strat.

Co do ogólnego przebiegu walk nad Piavą, to omówił je w sejmie węgierskim prezydent ministrów dr. Wekerle. Według relacyi c. k. Biura korespondencyjnego, premier węgierski w sprawie tej oświadczył: „Muszę skonstatować bez upiększeń, że ogólna cyfra naszych jeńców, pozostałych w rękach włoskich, wynosi 12.000, podczas gdy my mamy 50 000 jeńców włoskich. Przy tak wielkiej ofenzywie i przy takim odwrocie nie jest to zbyt wiele.

O wiele smutniejszą jest strata, jaką ponieśliśmy w zabitych, rannych i chorych. Większa część tych strat przypada na chorych i rannych. Liczba ich wynosi 100 000. W liczbie tej mieszczą się zabici, ciężko i lekko ranni i ci, którzy wrócili jako chorzy.

Włosi stracili w tej ofenzywie 150 000 ludzi. Wobec twierdzenia, jakoby straty spowodował brak amunicyi, podkreślić należy, że armia nie była jeszcze nigdy tak obficie zaopatrzona w amunicyę, jak w połowie czerwca. Ponieważ jednak zaszedł wypadek, że z trzech mostów zarzuconych na Piavie jeden został zerwany i porwał za sobą inne, zaszły trudności przy transporcie amunicyi i środków żywności. Nie zaszedł jednak ani jeden wypadek śmierci wskutek głodu. Do niewoli dostali się tylko ci, których zostawiono dla zasłaniania odwrotu.

Co się tyczy wartości ofenzywy, jest niewątpliwem, że przez nią zapobiegliśmy, iż Włosi nie wysłali znacznej części swoich wojsk na front zachodni. To osiągnęliśmy. Jakkolwiek smutne są te wydarzenia, to jednak ze strategicznego punktu widzenia nie możemy tego uważać za klęskę, ponieważ zadaliśmy przeciwnikowi większe straty. Nie mamy przeto najmniejszego powodu do występowania z brakiem zaufania. Nasze pozycye są silne, możemy przeto z zupełnem zaufaniem oczekiwać dalszego rozwoju“.

Zgon matki księcia-biskupa krakowskiego.

W Krakowie zmarła ś. p. księżna Jadwiga z Sanguszków Adamowa Sapieżyna, matka księcia biskupa Sapiehy. Pogrzeb czcigodnej matrony polskiej, słynącej z cnót obywatelskich, stał się poważną manifestacyą żałobną.

Trumnę ze zwłokami ś. p. Jadwigi Sapieżyny ustawiono w nawie kościoła św. Szczepana na Piasku, skąd odbył się pogrzeb. O godzinie ósmej rano odprawił cichą mszę św. żałobną książę biskup Sapieha; po nim zaś według obrządku gr. kat. X.



Powrót za Piavę: Wojska austryackie w dolinie Brenty. (Woj. kwat. pr.)

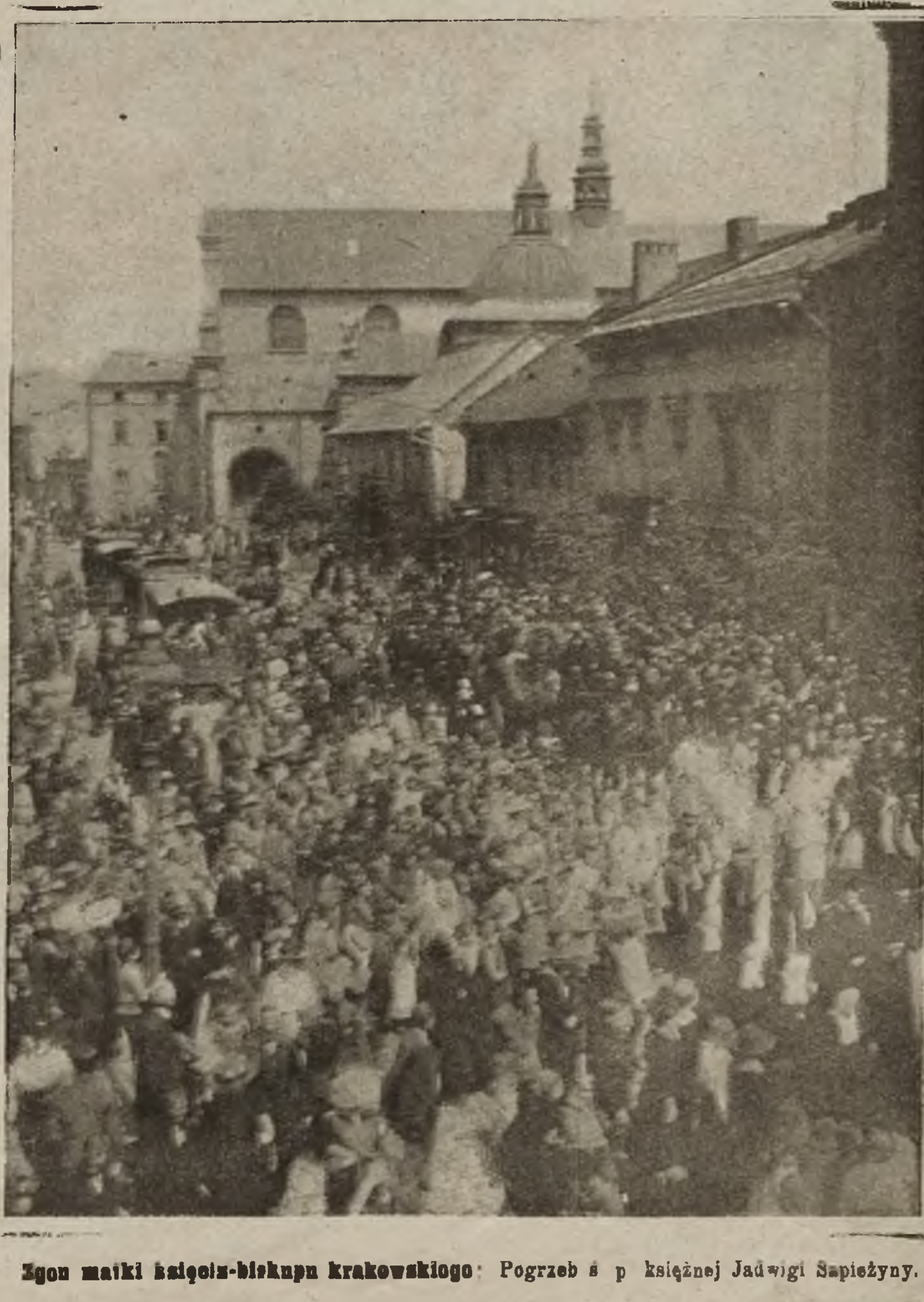
metropolita Szeptycki ze Lwowa i ks. arcybiskup Teodorowicz. O godz. dziewiątej uroczystą mszę św. żałobną odprawił ks. biskup Wałęga z Tarnowa, a przemówienie żałobne wygłosił ks. arcybiskup Teodorowicz, podnosząc w gorących słowach wielkie zasługi ś. p. Zmarłej na polu humanitarnem i społecznem. Po mszy św. i odprawieniu egzekwii ruszył kondukt żałobny na dworzec kolejowy. Kondukt poprzedzały dzieci z ochronki im. Jadwigi Sapieżyny i innych, pozostających pod jej opieką, duchowieństwo zakonne męskie i żeńskie i kler. Kondukt prowadził ks. biskup Nowak; szli dalej ks. arcybiskup Teodorowicz, ks. metropolita Szeptycki, ks. biskup Wałęga i kanonicy krakowscy.

W pogrzebie, oprócz rodziny i spokrewnionych rodów, wzięli nadto udział: arcyksiążę Leopold Salwator z córką, ks. Dominik Radziwiłł, ks. Hieronim Radziwiłł z żoną, marszałek kraju Niezabitowski, prezes Akademii Umiejętności, prof. Kazimierz Morawski, rektor uniwersytetu, prof. Zurawski, wiceprezydent Zoll, gen. Rozwadowski, reprezentanci władz i instytucyi, wreszcie ogromne tłumy pobożnej publiczności.

Zwłoki ś. p. Jagwigi Sapieżyny ubrane w habit Trzeciego Zakonu św. Franciszka, przewiezione zostały do Krasiczyna, gdzie złożone zostały w grobach rodzinnych na wieczny spoczynek.



(W. k. p.) **Powrót za Piavę**: Obserwacyjna placówka austryacka nad Piavą.



Zgon matki księcia-biskupa krakowskiego: Pogrzeb ś. p. księżnej Jadwigi Sapieżyny.

Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie.

Dnia 21. czerwca upłynęło trzy miesiące od rozpoczęcia ofenzywy niemieckiej na froncie zachodnim. W ciągu tych trzech miesięcy stoczono cztery wielkie i krwawe bitwy. Pierwsza z nich toczyła się pod Amiens, druga pod Ypres, trzecia na froncie Noyon Reims, zaś czwarta i ostatnia na froncie Montdidier Noyon w kierunku Compiègne. Francuzi i Anglicy bronili się mężnie i stawili Niemcom zacięty opór. Bitwa doszła do tak szalonych rozmiarów, iż trzeba było ponownie zarządzić przerwę, aby dać chwilę wytchnienia wojskom i przygotować nowe zastępy do boju.

O rozmiarach toczących się na Zachodzie zapasów świadczą wymownie następujące dane: W ciągu wielkiej bitwy na froncie Cambrai—St. Quentin—La Fere alianci rzucili do boju ogółem 75 dywizyi piechoty i sześć dywizyi kawaleryi. Niemiecka ofenzywa we Flandryi zmusiła aliantów do rzucenia do boju jeszcze 36 dywizyi piechoty i dwóch dywizyi kawaleryi Bitwa pomiędzy Aisne a Marną wciągnęła do boju 49 dywizyi piechoty i pięć dywizyi kawaleryi. Podczas ataku niemieckiego pomiędzy Montdidier a Noyon, generalissimus koalicyi musiał wystawić przeciw Niemcom 17 dywizyi. Ogólna suma koalicyjnych dywizyi piechoty na froncie zachodnim wynosi 189. Z tych, w czasie od 21. marca do 21. czerwca b. r., koalicya rzuciła do boju 177 dywizyi piechoty i 13 dywizyi kawaleryi. Nie wliczono tu dywizyi, włączonych w przerwach pomiędzy okresami wielkich walk.

Pomimo powiększenia kadr przez Amerykanów i Włochów, jak również przez kolorowe formacye francuskie, rezerwy francuskie zmniejszyły się znacznie.

Pierwsze trzy miesiące ofenzywy niemieckiej na froncie zachodnim, obok wszelkich innych znacznych sukcesów, zmniejszyły w znacznej mierze używalność przez koalicyę francuskich dróg żelaznych. — W bitwie zaczepnej Cambrai—St. Quentin—La Fere, wskutek szybkiego posuwania się naprzód Niemców, koalicya straciła podczas pierwszego natarcia kolej Roiset — Péronne — Chaulnes — Roye, która umożliwiała im do tej pory szybkie przerzucanie wojsk pomiędzy rzekami Somme a Aisne. Wskutek postępującego ataku Niemców przerwaną została komunikacya kolejowa na równolegle do frontu biegnącej głównej linii kolejowej Arras — Amiens — Montdidier—Verberie—Ormoy, pomiędzy Boislaux a Dernancourt, oraz pomiędzy Moreuil a Pomfront. — Przerwanie tej linii oznacza poważną przeszkodę nie tylko dla operacyi, prowadzonych w pośród angielskich i francuskich armii bojowych, lecz utrudnia również wystąpienie dywizyi francuskich na angielskim głównym froncie bojowym. Poza tem owa bitwa zaczepna pociągnęła dla koalicyi jeszcze i to następstwo, iż ważny dla nich trójkąt kolejowy Lamotte — Amiens — Boves, oraz linia kolejowa Amiens—Paryż, w odległości 5 do 15 klm., znajdują się w strefie ognia artyleryi niemieckiej.

W przeciwieństwie do powyższych strat koalicyi, Niemcy odnieśli znaczne korzyści, pozyskując wiele linii kolejowych, które ułatwiają im znacznie dowóz wielkich posiłków na front bojowy. Jak widać z tego przeglądu, trzechmiesięczna ofenzywa niemiecka na froncie zachodnim przyniosła Niemcom poważne rezultaty, jakkolwiek okupione znacznemi ofiarami.





Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Zburzony fort Condé pod Soissons. (Fot. Bufa)



Szpital niemiecki w kościele w Braisne.



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: W zburzonym forcie Condé pod Soissons. (Fot. Bufa)

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J. MIGOWA)

Zaprowadził gości do długiej bawialni, wyklejonej czerwonym papierem. Służąca, wiejska dziewczyna o dziwnie szlachetnych rysach, o ustach markizy a rękach olbrzymki, przynosiła chleb światły, świeże masło, mleko, śmietankę, kawę i ciastka

Jakób Berleuse pokazał listy, które otrzymał od synów. Były one jałowe i monotonne. Te same zdania i słowa powtarzały się kilkakrotnie. Niekiedy jednak błyskał jakiś obraz straszny i bolesny, krwią ociekający, wstrząsający cierpieniem.

— Nie skarżę się — rzekł stary — musi tak być... nie można inaczej, pani hrabino...

Potem cicho a żarliwie zaczął mówić o gospodarstwie.

— Ziemia rodzi i nie rodzi, jakby potrzeba... Brakuje rąk, pani hrabino, a moje zaczynają rdzewieć... Dyabli wiedza skąd wlazł jakiś „romatyzm" i łupie po kościach... Są straty... Trochę zboża zgniło... I w stajniach braki.. Bydło marnuje się...

Pani de Givreuse rozumiała dobrze cel tych skarg. Słuchała spokojnie, zdecydowana dorzucić coś do wydatków gospodarskich, ale przekonana także o tem, że w narzekaniach starego poczciwca było sporo przesady.

— Obejrzymy to wszystko, panie Berleuse! — rzekła — Czasy są ciężkie... trzeba pieniędzy dla wdów...

— Dla wdów... tak... to się wie, pani hrabino... ale ziemia... ona przecież wszystkich żywi.

Westchnął i dodał:

— Niestety... a ojcowie rodzin, którzy mają po dwóch synów na wojnie... A zresztą pani hrabina zobaczy sama i osądzi sprawiedliwie...

Podwieczorek zjedzono już. Pani Givreuse powiedziała:

— Chodźmy zobaczyć stajnie, panie Berleuse.

Połknęła ostatni kawałek ciasta i podniosła się z krzesła. Młodzi ludzie nie poszli za jej przykładem, wiedząc, że chodzi tutaj o pieniądze.

Ale matka skinęła na Piotra.

— Chodź! — rzekła.

Zależało jej na tem, aby przyszły dziedzic interesował się swą ojcowizną.

Piotr poszedł za panią Givreuse.

Filip i Walentyna pozostali sami. Rzadko się im to zdarzało i tylko na bardzo krótką chwilę. Tym razem los zastawił pułapkę. Filip nie miał żadnego pretekstu, aby się usunąć.

Z początku milczeli oboje. Nerwowy lęk Walentyny udzielił się młodzieńcowi. Nie śmiał patrzyć na nią wprost. Kątami oczu widział piękną bladą twarz i bujne z pod kapelusza wymykające się włosy.

Przypomniał mu się podobny zupełnie dzień. Na rok przed wojną znajdował się z matką i z Walentyną w tym samym pokoju.

Być może, że istniała już wówczas między nimi miłość, ale dopiero bezwiedna, nieuświadomiona.

Walentyna stała przy oknie. Powiewał lekki wietrzyk i poruszał wielkie czarne pióro na kapeluszu dziewczyny. Policzki jej miały połysk pereł. Przybliżył się. Zamienili ze sobą kilka zdań napozór błahych, pozostających jednak w ścisłym związku z najgłębszą ewolucyą duchową.

Serce zabiło Filipowi silniej, rozkołysane tem wspomnieniem.

Zapach irysu i ambry, jaki wydzielały suknie Walentyny, wydał mu się niby pył kwietny jakichś dalekich kwiatów.

Krajobraz, który roztaczał się przed nimi, oddychał przedziwną świeżością.

Łąki podobne do łąk Irlandyi, czysty strumień z przerzuconym przezeń małym staroświeckim mostkiem. Rząd topoli czarnych, tych drzew gotyckich, które wznoszą ku niebu wysmukłe łuki, lśniące srebrem.

Było to jakby wezwanie do cichych radości spokojnego, skromnego życia.

— A jednak ta ziemia tutaj, to ziemia tragiczna! — szepnął młodzieniec — Ziemia spustoszeń i cierpień!... Jak wszędzie, kędy przeszli Wikingowie!

Walentyna podniosła głowę. Spojrzenia ich spotkały się i zaraz rozbiegły.

— A przecież tutaj wszystko dyszy spokojem — mówił dalej — i zaprasza do życia — ciągnął dalej.

— Sądzi pan? W jesieni i w zimie jest tutaj daleko smutniej, niż wśród skał nad morzem. Nie lubię łąk... wolę lasy.

Drgnął. Powtarzała prawie słowo w słowo to, co mówiła wtedy.

Filip podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

Jakieś skromne ptaszę śpiewało wśród gałęzi.

Młodzieniec rozmarzył się. Śpiew ptaka budził w jego sercu echa wspomnień dawnych i pragnień.

Sam nie wiedział, jak i kiedy wybiegła mu na usta strofka wiersza:

„Ptaszę śpiew zawodzi
Cudny śpiew,
Cicho marzą młodzi
W cieniu drzew".

Odwrócił nagle głowę, bo posłyszał za sobą coś jakby jęk. Panna de Varsennes stała wyprężona, blada, z rozszerzonemi źrenicami i napółootwartemi ustami. Ręce jej dygotały.

Zrozumiał. To był ten sam wiersz, który deklamował wówczas Walentynie przy tem samem oknie, wówczas kiedy był jeszcze Piotrem de Givreuse.

Postąpił krok. Walentyna zachwiała się jak gdyby miała zemdleć. Potem nastąpiła reakcya. Policzki dziewczyny zaróżowiły się. Szał ją jakiś ogarnął. Ochrypłym głosem krzyknęła:

— Kim pan jesteś?! Skąd przybywasz?!

Tak cicho, że dosłyszeć nie mogła, szepnął:

— Niestety!... Kimże ja jestem?...

Walentyna nalegała dalej gorączkowo:

— Dlaczego wypowiedział pan tę strofkę i dlaczego właśnie tutaj?!

Przez chwilę nie odpowiadał. Zbierał siły.

— Skądże wiedzieć mogę? — rzekł wreszcie, usiłując się uśmiechnąć. — Ten wierszyk przypomniał mi się poprostu. Cóż w tem nadzwyczajnego?

Poruszyła wargami, ale nic nie odpowiedziała.

W duszy jej kotłowały nieokreślone podejrzenia, sprzeczności najjaskrawsze, poczucie czegoś, co idzie z tamtego świata.

A potem dwie wielkie łzy spłynęły po twarzy.

Filip targany miłością i współczuciem, udręczony bolesną tajemnicą swego istnienia, stał przybity. Wiedział, że nie zawinił w niczem, a jednak czuł się winnym.

Wieczorem, kiedy młodzieńcy znaleźli się sam na sam, Filip powiedział do Piotra:

— Niepodobna, abyśmy obaj dłużej razem mieszkali w Givreuse. Nasza podwójna obecność staje się czemś złem. Udręka, na jaką narażamy Walentynę, jest nie do zniesienia. Nie mamy prawa ciągnąć tego dalej. Dopiero dzisiaj to w całej pełni odczułem.

Opowiedział, co się stało w domu Jakóba Berleuse.

— Można było uniknąć tej niezręczności. Ale czyż podobna wykluczyć możliwość podobnych wypadków?... Może kiedyś nawet coś poważniejszego. Przecież wszystkie nasze wspomnienia są wspólne. Pewnego pięknego dnia, ten który nie jest Piotrem, może wypaść z roli, zdradzić się fatalnie... A choćby nawet tak się nie przydarzyło, to Walentyna i takby cierpiała. Ona wie, że ją obaj kochamy.

Te słowa dźwięczały Piotrowi w uszach, jak echo jego własnych myśli. Zapytał tylko:

— Odjedziemy obaj?

To samo pytanie zadawał sobie Filip. Okropną była myśl o rozłące. Rozumieli jednak, że logika przeznaczenia wymaga tego.

— Zgadzamy się — rzekł Piotr — i będziemy się często widywać.

— Który z nas odjedzie?

— Własna nasza wola nie umiałaby rozstrzygnąć... Losujmy.

Los wyznaczył Filipa.

Przygnębieni bardzo młodzi ludzie spoglądali długo w ciemny, milczący ogród.

Dusze pełne mieli goryczy i buntu.

Obaj cierpieli, ale Filip dotkliwiej niż Piotr. Rozpoczynało się dla niego straszne, tragiczne wygnanie. Nie istniał dla ludzi, nie urodził się wcale.

Porzucał matkę, wyrzekał się jej na zawsze. Miłość ku Walentynie miała być odtąd tylko męczarnią.

Wszystkie myśli, które przesuwały się Filipowi przez głowę, powtarzały się w mózgu Piotra.

Zapadła decyzya wydała mu się nagle niemożliwą do wykonania

— Nie odchodź! — jęknął.

— Wiemy obaj, że tak być musi — odparł Filip. — Nie próbujmy sprzeciwiać się wyższemu prawu, które nas rozdzieliło i skazało na odrębną egzystencyę. Przez wspólne dalsze pożycie wypaczymy przyszłość jeszcze straszniej i unieszczęśliwimy Walentynę.

— A jednak — rzekł Piotr — ten odjazd nie zadecyduje o niczem. Poczekam. Niechaj wszystko zostanie w zawieszeniu.

— Dobrze — odpowiedział melancholijnie Filip. — Wyjazd mój będzie próbą, być może szczęśliwą!

Umilkli Nigdy jeszcze to podwójne życie nie wydało im się tak posępnem.

Dłonie ich połączyły się, a przez uścisk ten odczuli znowu z całą mocą jedność swego istnienia.

— Czy to nie sen? — szepnął Filip.

— Albo może wyższa prawda — uzupełnił Piotr.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie spali tej nocy wcale. Zaraz rano powitał ich gość, hrabia Augustyn de Rougeterre.

Lekki dreszcz przebiegł starca. Nie mógł przyzwyczaić się do ich podwójnej obecności.

— Przybyłem — rzekł — aby pomówić o interesach. Mamy zamiar rozszerzyć nasze przedsiębiorstwo.

Miał na myśli fabrykę samolotów, w której prowadzony patryotyzmem, uwięził znaczną część swego majątku. Pani de Givreuse i Piotr byli wspólnikami przedsiębiorstwa.

— Powiększamy kapitał zakładowy. Chciałbym wiedzieć, jakie jest wasze zdanie.

— Godzimy się zupełnie na to, co postanowisz, wuju.

— Pragnąłbym także, ponieważ macie potrzebne ku temu naukowe studya...

Urwał zmieszany, jak zawsze, kiedy trzeba było mówić o ich przeszłości.

— Chciałbym, aby przynajmniej jeden z was mógł dozorować robotę w fabryce.

— To ja — rzekł Filip. — Pojadę do Granville i zajmę się...

Hrabia rzucił mu spojrzenie podejrzliwe prawie i jakby przerażone.

— Rozłączylibyście się?

— Właśnie tak postanowiliśmy przed twem przybyciem, wuju.

Hrabia Augustyn zamyślił się.

— Nie śmiałem radzić — rzekł wreszcie — ale już mi to nieraz przychodziło do głowy.

Weszli do jadalni. Stół był nakryty. Brakowało tylko mleka i kawy.

Pani de Givreuse i Walentyny nie było jeszcze.

— Musicie — ciągnął dalej hrabia de Rougeterre — uczyć się żyć każdy na swój rachunek.

Stary zegar wydzwonił ósmą godzinę. Pokojówka weszła do pokoju.

— Wiktoryno! — zawołał Piotr — czy pani jeszcze nie wstała?

— Owszem, wstała, ale...

Nie zdążyła dokończyć. Dały się słyszeć szybkie kroki. Pani de Givreuse ukazała się w progu. Na twarzy jej znać było wielkie wzburzenie.

— Walentyna zniknęła! — wykrzyknęła.

— Niepodobna! — wyrwał się jednocześnie okrzyk z ust Filipa i Piotra. — Nie mogła zniknąć!...

Byli więcej zmieszani, niż zdziwieni.

— Rzeczywiście, że nie mogła zniknąć — przyznał hrabia Augustyn. — Pewnie wstała wcześnie i poszła na spacer. Coś ją widocznie zatrzymało.

Pani de Givreuse potrząsnęła przecząco głową.

— I ja tak sądziłam, Augustynie, ale ona nie kładła się wcale! Musiała wymknąć się w nocy lub o świcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożyteczna organizacya kupiecka.

W czasach obecnych, kiedy obok zawodowego kupiectwa wyłoniły się nowe typy komercyalne, z jednej strony centrale, a z drugiej strony „łańcuchowcy“ i handlarze pokątni, to jest tak zwani kupcy wojenni, polskie zawodowe kupiectwo, mimo korzystnych dla niektórych jednostek konjunktur, zostało na ogół osłabione i tylko zdrowa a racyonalna i uczciwa organizacya może utrzymać na pewnej wyżynie stan kupiecki.

Taka organizacya istnieje obecnie we Lwowie, a w myśl statutu rozszerza swą działalność na cały kraj. Mówimy tu o stowarzyszeniu „Wzajemna pomoc kupców chrześcijańskich w Galicyi“. Stowarzyszenie to powstało wprawdzie przed dwudziestu przeszło laty, jednak wskutek apatyi członków po pewnym czasie zaczęło się chylić do upadku. — Wówczas to, w roku 1911, ujął w energiczne ręce ster stowarzyszenia znany kupiec lwowski, p. Kazimierz Maksymowicz. Energiczną pracą doprowadził on stowarzyszenie do rozkwitu i zorganizował kupiectwo spożywcze na zdrowych podstawach, które przetrwały czas inwazyi, a teraz jeszcze bardziej — dzięki jego owocnej pracy — zostały rozszerzone.

W uznaniu tych zasług na jednem z poprzednich walnych zgromadzeń członkowie jednogłośnie mianowali prezesa, p. K. Maksymowicza, członkiem i dożywotnim prezesem honorowym stowarzyszenia, a fundusz zapomogowy i pośmiertny nazwali jego imieniem. W tym roku zaś z okazyi 25 letniego jubileuszu pracy zawodowej prezesa, członkowie wydziału i stowarzyszenia uczcili go przez wspólną fotografię, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Na fotografii oprócz siedzącego w pośrodku prezesa, widzimy wiceprezesa stowarzyszenia, p. Leonarda Soleckiego (po prawej stronie), sekretarza Zygmunta Korostańskiego (po lewej), dalej ks. kanonika Krechowicza, oraz pp. A. Kapuścińskiego, Włodzimierza Czarneckiego, Wacława Barabasza, Bromilskiego, Wunka, Superlaka i innych członków.



Pożyteczna organizacya kupiecka: Wydział Tow. Wzajemnej pomocy kupców chrześcijańskich, we Lwowie z prezesem K. Maksymowiczem w pośrodku.

Prezes p. K. Maksymowicz i współpracujący z nim wydział nie ogranicza się do pracy samego tylko stowarzyszenia, lecz obejmuje szerszą dziedzinę zawodowego handlu. Za inicyatywą p. Maksymowicza powstała ogólna organizacya kupców rejonowych i spożywczych, która wiele zdziałała dla uzdrowienia handlu. Tak na przykład dla towarów, nie objętych taryfą maksymalną, ułożono specyalny cennik, zapobiegający podbijaniu cen przez sprzedawców pokątnych i dostawców. Świeżo zaś zorganizował prezes stowarzyszenie zarobkowe i gospodarcze, pod nazwą „Krajowy związek handlowy“, i stanąwszy na jego czele, organizuje „Hurtownię kupiecką“, mającą na celu unormowanie cen, przeciwdziałanie drożyźnie i aprowizowanie handlu polskiego.



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Zniszczone pozycye francuskie pod Pinon Fot. Bufa



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Ciężkie działo francuskie, zdobyte w walkach nad Marną. (Fot. Bufa)



Poznajmy własny kraj: Z wycieczki turystycznej krakowskiego Klubu cyklistów Odpoczynek na brzegu Dunajca





Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: (Fot. Bufa)

Pozostawiona na pozycyi 24 cm. armata francuska

Stare kobiety francuskie na gruzach zburzonego miasta Poissy.

Poznajmy własny kraj.

Kraj nasz obfituje w tyle przepięknych, godnych widzenia miejscowości, że śmiało rywalizować może z innymi pod względem ruchu turystycznego. — Niestety, czy brak zrozumienia dla tej sprawy, czy też jakaś apatya sprawia to, że nie znamy naszego kraju, a i nie staramy się go poznać i to nie tylko w obecnych czasach, ale i przed wojną.

By choć częściowo tę apatyę usunąć, Krakowski Klub cyklistów i motorzystów stara się mimo obecnych trudnych warunków urządzać wycieczki w bliższe i dalsze okolice Krakowa, a jedna z tych wycieczek odbyła się właśnie w czasie Zielonych Swiąt do Pienin i Szczawnicy. Uczestnicy jej, w liczbie dwunastu osób, w tem trzy panie, przybyli częściowo na kole, częściowo koleją do Nowego Targu, skąd w niedzielę rano już na rowerach udano się w dolinę Dunajca, zwiedzając po drodze starożytny



Poznajmy własny kraj: Wycieczka turystyczna krakowskiego Klubu cyklistów w dolinie Dunajca.

drewniany kościółek w Dębnie, ruiny Czorsztyna (zamku w Niedzicy, zamieszkałego przez jakiegoś magnata węgierskiego, zwiedzać obecnie nie można), poczem po spoczynku w Starej Wsi (Szepes Ofalu) na Orawie i spożyciu obiadu przy dobrem winie w węgierskiem schronisku w Smierdzonce, obok Czerwonego Klasztoru, udano się przez Pieniny do Szczawnicy. Wprawdzie szalejąca po stronie węgierskiej burza z piorunami nie pozwoliła uczestnikom wycieczki podziwiać w całej pełni wspaniałych widoków Pienin, mimo to jednak wywoływały one prawdziwy zachwyt i żałowano tylko, że brak czasu zmusza do rozstania się z niemi, a brak komunikacyi uniemożliwia wprost bliższe ich poznanie przez szersze sfery naszego społeczeństwa. W poniedziałek zrana wycieczka udała się w drogę powrotną na Krościenko, Kamienicę, Tymbark, Dobrą, Dobczyce i Wieliczkę do Krakowa, przebywając w ten sposób na rowerach ogółem przestrzeń 160 kilometrów.

Następne wycieczki projektowane są jeszcze do Babiej Góry, Zywca, Lipowca, Tenczynka, Melsztyna, w Tatry i inne. Wszystkie te wycieczki ułożone są w ten sposób, że mogą brać w nich udział i osoby słabiej jeżdżące oraz młodzież, a sekretarz Klubu, p. Gregorczyk, udziela chętnie w tej sprawie wyjaśnień i przyjmuje wpisy do Klubu.



Za przykładem Anglików: Niemieckie tanki (żółwie pancerne) na drodze pod Reims (Fot. Bufa)



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Zdobyta armata francuska na pozycyi. (Fot. Bufa)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

31

Machinalnym ruchem Dawidson wziął pieniądze, ale w chwili, kiedy je miał schować do kieszeni, głos matki Angot rozległ się w drugiej sali.

— List do kapitana Dawidson? — mówiła stara — zaraz mu go wręczę.

I matka Angot stanęła na progu, trzymając w ręce kopertę. Kapitan otworzył list niecierpliwie.

Ale zaledwie rzucił okiem na pismo, lekki okrzyk wybiegł z jego piersi.

— Cóż tam takiego? — zapytał Paskal.

— Do dyabła! — zaklął Dawidson. — Zaczynam wierzyć w czary.

— Cóż takiego?

— Ten list w tej chwili! Ciekawa historya, doprawdy!

— Cóż jest w tym liście dziwnego? — nalegał Paskal niecierpliwie.

— Pisze go jeden z trzech pasażerów, których mam zabrać do New-Yorku.

— I czegóż on chce?

— Niech pan posłucha.

— „Kochany panie Dawidson — czytał głośno kapitan — jesteśmy w Brest od dziś rana i nie zamyślamy zatrzymywać się tu długo. Niechże więc pan będzie gotów do podróży, tak jakeśmy się umówili, bo chcę najdalej za trzy dni odpłynąć z towarzyszami do New-Yorku".

List podpisany był „Lopez", ale kapitan w rozgorączkowaniu zapomniał o tem.

— Ależ to się cudownie składa. Nie uważa pan? — zawołał Paskal, uradowany z tak dobrej wiadomości w chwili, kiedy obawiał się, że zamiar jego spełznie na niczem.

— Tak, doskonale się składa — powtórzył kapitan. — Mogę teraz tym sposobem przysłużyć się panom i zadośćuczynić zobowiązaniom moim wobec tamtych pasażerów.

Paskal z zadowoleniem skinął głową i pówstał.

Ale kapitan zatrzymał go ruchem ręki.

— Jeszcze słów parę — rzekł żywo.

— Czy nasza umowa nie podoba się panu? — zapytał Paskal, brwi marszcząc.

— Nie mówię tego, mój panie. Tyle pieniędzy każdy chętnie zarobić pragnie. Przyjmuję więc propozycyę pana.

— A więc?

— Musimy jednak omówić kilka jeszcze szczegółów, tyczących się wykonania naszego planu — rzekł poważnie Dawidson.

— O co panu chodzi?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Rozumie pan, że moi pasażerowie wynagradzają mnie dostatecznie, aby czuć się panami sytuacyi i wymagać zupełnej wolności na moim okręcie. Nie trzeba więc, ażeby zauważyli, przynajmniej w pierwszych dniach, obecności waszej, rozumie pan? Naraziłoby to mnie na wielkie nieprzyjemności.

— Więc cóż trzeba robić? — mruknął Paskal, który pomimo niechęci nie mógł odeprzeć słusznej uwagi kapitana.

— Rzecz bardzo prosta.

— Jaka?

— Liczba pasażerów jest oznaczona, ale liczba majtków moich nie.

— Ach! Zaczynam rozumieć! — zawołał Paskal, którego twarz rozjaśniła się nagle.

— Pan i pana przyjaciel włożycie więc ubranie majtków i będziecie udawać podczas przejazdu, że należycie do mojego personalu.

— Dobrze.

— Zgadza się pan?

— Oczywiście!

— Nie zapytuję pana — ciągnął dalej kapitan — jaki macie cel, chcąc otoczyć się tajemnicą, jak również nie wspominam o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam przyjmując was na swój okręt. Ale jestem zmuszony wyjawić panu pewną rzecz, abyśmy nawzajem wiedzieli, czego się trzymać mamy.

— Cóż jeszcze? — zapytał Paskal niechętnie.

— Chciałem panu zaznaczyć, że na pokładzie moim jestem absolutnym panem i jeżeli obecność wasza miałaby wywołać jakie niebezpieczeństwo dla mnie lub dla tych, których zobowiązałem się odstawić na ląd stały, nie zawaham się ani chwili, aby się was pozbyć i zostawić gdziekolwiekbądź, jeżeli tego zajdzie potrzeba. Oto wszystko.

Paskal zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Zapytywał się w duchu, czy dobrze uczyni, powierzając się wraz z bankierem w ręce kapitana i czy nie powinien był mu wyjawić całej prawdy.

Ale Paskal nie należał nigdy do ludzi, którzy obierają prostą i szczerą drogę w życiu. Lękał się przytem skompromitować nieodwołalnie, wydając podobnie ważną tajemnicę człowiekowi nieznanemu, który pomimo obiecanego wynagrodzenia mógł ich zdradzić i zgubić.

Postanowił więc milczeć.

— A więc pan mnie dobrze zrozumiał? — zapytał kapitan Dawidson.

— Doskonale — odparł Paskal wstając.

— Za dwa dni odpłyniemy, a właściwie za dwa dni musicie już być na okręcie.

— Tak, za dwa dni.

Mówiąc to Paskal skinął głowa i opuścił salę.

Dawidson patrzał chwilę za nim, w końcu potrząsnął znacząco głową.

— Hm, hm — mruknął przez zęby — oto człowiek, który wydaje mi się być porządnym nędznikiem. Jeżeli towarzysz jego z tego samego gatunku, mogę się pochwalić, że będę miał na okręcie dwóch niecodziennych łajdaków. Ale co tam! Banknoty nie są fałszywe, a biorąc je, nie czynię krzywdy nikomu. A pozatem będę dobrze pilnował moich ptaszków, jeżeli się będą zachowywać nie tak, jak należy, zastrzelę jak psów!

Uczyniwszy to postanowienie, Dawidson wypił jeszcze jedną szklankę ponczu i wyszedł z kawiarni matki Angot.

List, który kapitan odebrał przed chwilą, był rzeczywiście pisany przez Lopeza.

Tego samego dnia jeszcze do najlepszego hotelu w Brest zgłosiło się troje podróżnych. Przybywali z Juyon, małego miasteczka dolnej Bretanii i mieli wkrótce odpłynąć do Ameryki.

Kiedy tylko powóz, przywożący ich, zatrzymał się przed bramą hotelu, wysiadł z niego Frank i Fernanda i podczas kiedy Lopez zajmował się bagażami, młodzi ludzie pospieszyli do zamówionych dla siebie wcześniej jeszcze apartamentów.

Zamówione mieszkanie składało się z dwóch pokojów sypialnych i salonu. Jeden z pokojów przeznaczony był dla Lopeza, drugi dla Fernandy i Franka.

— Nareszcie jesteśmy w Brest — rzekł Frank, wchodząc do mieszkania. — Za trzy dni wsiadamy na okręt, a za miesiąc najdalej znajdziemy się w New-Yorku. Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że wówczas dopiero czuć się będę całkiem szczęśliwy, kiedy na zawsze opuszczę wybrzeża Francyi. A jednak nie wybierałbym się w tę podróż, gdybym nie miał przed sobą nadziei powrotu.

— To tak jak i ja — odparła Fernanda, pociągając Franka na kanapę.

— Ameryka nie jest naszym krajem rodzinnym, nieprawdaż kochanko? A przytem muszę ci się przyznać, że od niedawnego czasu marzenie pewne zaświtało mi w głowie.

— Marzenie?

— Myślałem o tobie.

— A więc?

— Wiesz, z zazdrością przyglądam się tej pięknej Bretanii, przez którą przejeżdżaliśmy i żałowałem, że nie możemy tam pozostać dłużej. Dziwnie ten malowniczy zakątek naszego kraju oddziaływa na mnie. Zdaje mi się, że tylko pośród tych uroczych domków, uczepionych u skał, jak gniazda ptaków, skąd rozciąga się wspaniały widok na pełne morze, zaznać można prawdziwego spokoju i szczęścia. Ach! Wiesz Fernando! Lękam się, czy piękne nadzieje, jakie pokładamy w Ameryce nie zbledną wobec tych wspomnień, jakie zabieram stąd ze sobą.

Fernanda uśmiechnęła się lekko i ujęła w serdeczny uścisk rękę Franka.

— Nie spieszmy się z zawczesnym sądem — odrzekła. — I ja również odczułam w Bretanii te wrażenia, o których mówisz, mój Franku, ale od kilku dni tyle nowych rzeczy wypełnia moje życie, jestem tak szczęśliwa twoją miłością i przyszłością, jaka się przed nami otwiera, że zdaje mi się, iż teraz dopiero zaczynam żyć naprawdę. Przeszłość nie istnieje już dla mnie. Żyję całą pełnią teraźniejszej chwili i zapytuję się, czy gdziekolwiekindziej znalazłabym radość i rozkosz większą!

Fernanda nie dokończyła jeszcze, kiedy Frank nagłym ruchem objął ją ramieniem i przycisnął silnie do piersi, patrząc w jej oczy z miłością.

Od kilku dni dopiero połączeni ze sobą zostali na zawsze. I te dni kilka młoda kobieta przeżyła w upojeniu, które się jej wydawało snem cudnym. Widok szczęścia Franka potęgował jeszcze w niej ten nastrój.

Wejście Lopeza przerwało wynurzenia młodej pary. Wyraz szczerej radości i rozrzewnienia błysnął w oczach Lopeza.

— Czas na śniadanie, moi kochani — zawołał wesoło. — Jestem dyabelnie głodny po tej podróży, a zdaje mi się, że i wam nie wystarczą tylko czułe słówka i pocałunki.

Frank zaśmiał się i uściskał Lopeza.

— Napisałem do Dawidsona, uprzedzając go o naszem przybyciu — rzekł Lopez. — Spodziewam się go lada chwila.

Kończono właśnie śniadanie, kiedy służący hotelowy oznajmił nadejście kapitana.

Lopez kazał go wprowadzić do pokoju, przywitał uściśnieniem ręki i posadził przy sobie.

— A więc, kapitanie — zaczął, nalewając mu duży kieliszek rumu — czy jesteśmy gotowi do odpłynięcia w dniu oznaczonym przezemnie?

— Będziemy gotowi jak tylko pan rozkaże — odpowiedział z ukłonem Dawidson.

— Czas będzie dobry zdaje się?

— Doskonały.

— I dopłyniemy do New-Yorku w przeciągu miesiąca, nieprawdaż?

— W przeciągu dwudziestu czterech dni, lub mniej jeszcze.

— A to wspaniale! Dziś wieczorem każę bagaże nasze zanieść na okręt, a jutro zjawimy się sami. Czy pan niema nic przeciwko temu?

— Powtarzam, że jestem na rozkazy pana. Jeżeli sobie pan życzy, przyślę z okrętu moich ludzi po rzeczy państwa. To pójdzie prędzej.

— Owszem, jeżeli to panu nie uczyni żadnej różnicy.

— Żadnej.

Po omówieniu jeszcze kilku szczegółów, tyczących się przeprawy, kapitan powstał i grzecznie pożegnał swoich przyszłych pasażerów, życząc im dobrej nocy.

Ale nagle zatrzymał się poruszony.

Silny wystrzał armatni dał się słyszeć od strony morza i Fernanda niespokojnie przytuliła się do Franka.

— Co to jest? Czy słyszeliście panowie? — wymówiła drżącym głosem.

— Och! To nic wielkiego — odpowiedział Dawidson, zwracając się od progu. — W portach gdzie są więzienia, jesteśmy przyzwyczajeni do takich niespodzianek.

Ale Frank, również jak i Fernanda, był zaniepokojony tym nieoczekiwanym wystrzałem.

— Wytłumacz mi, co to jest, mój przyjacielu — zwrócił się do służącego, który wszedł sprzątnąć ze stołu. — Cóż ten wystrzał armatni ma oznaczać?

— To wystrzał na alarm — oznajmił służący.

— Na alarm?

— Tak. Ma to znaczyć, że jednemu z więźniów tutejszych udało się uciec.

— Czy to możliwe? — zawołała Fernanda. Służący uśmiechnął się.

— Och! Niepotrzebnie się pani obawia — mówił dalej. — Zdarza się to dosyć często, co tydzień prawie, ale biedacy nie daleko uciec mogą, bo straże pochwycą ich zawsze i odstawią z powrotem do więzienia.

— Więc pocóż narażają się na taki nieudany zamach? — zawołał Frank — skoro nie mają nadziei zachowania wolności! Nie rozumiem, dlaczego odważają się na tak trudne przedsięwzięcie, skoro go nigdy do rezultatu doprowadzić nie mogą.

— Kiedy, proszę pana, oni są poniekąd do tego zmuszeni — odpowiedział służący.

— Jakto?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kurs pszczelarski w Tarnowie.

Ruchliwy Wydział Tow. pszczelarskiego w Tarnowie urządził w dniach 10, 11 i 12 czerwca b. r. kurs budowy uli i hodowli pszczół. O potrzebie takich kursów świadczy ilość kursistów, przybyłych z różnych powiatów kraju i reprezentujących wszystkie niemal stany. Wykonano kilka uli, które otrzymali najpilniej pracujący kursiści. Jeden z nich, słomiany, wykonany pod kierunkiem p. Kamila Sliwy, widzimy na zamieszczonej fotografii. Nauki o hodowli pszczół udzielał p. Harlender w pasiece p. Motylewicza. Kursem interesował się bardzo poseł Matakiewicz, członek Wydziału Towarzystwa pszczelarskiego i poseł Witos, prezes tegoż Towarzystwa.



Kurs pszczelarski w Tarnowie: Grupa uczestników i kierowników kursu 1 Pos. Matakiewicz, 2. wiceprez Tow. pszczel. p Harlender 3. naucz. kursu p. Motylewicz, 4. K. Sliwa, sekr. Tow. pszczel. naucz. kursu, 5 instruktor kursu Röhrenschef.

Nauka na wolnem powietrzu.

Gimnazyum powiatowe w Brzesku, zakład prowadzony postępowo, jako szkoła narodowa, klasyczny od I—VIII klasy i realny koedukacyjny od I—V klasy, chcąc naukę w porze letniej ożywić i uzdrowotnić, od dwóch lat prowadzi takową na wolnem powietrzu, dla wszystkich klas równocześnie. Nauka odbywa się w pięknym górzystym parku browaru okocimskiego, użyczonym młodzieży na ten cel przez barona Jana Götza. Rano o trzy kwadranse na ósmą cała młodzież wyruszała w pochodzie do Okocimia i odbywała tam naukę do pierwszej lub drugiej godziny w południe. Wyniki były dodatnie, a młodzież uszczęśliwiona, że nie była zmuszona siedzieć w dusznych salach. Załączone fotografie przedstawiają naukę wśród zieleni.

Bliższe szczegóły o nauce na wolnem powietrzu znajdują się w drukowanej pracy zbiorowej grona nauczycielskiego, wydanej pod redakcyą dyrektora Missonę pod tytułem: „Z brzeskich doświadczeń wychowawczych“ I. i II. z roku 1917 i 1918 r.



Nauka na wolnem powietrzu: Uczniowie i uczenice gimnazyum powiatowego w Brzesku podczas letniej nauki.



Nauka na wolnem powietrzu: Wykłady w parku bar. Götza, dla uczniów i uczenic brzeskiego gimnazyum powiatowego.

Za przykładem Anglików.

(Do illustracyi na str. 7).

Wojna obecna, to przedewszystkiem wojna wynalazków. Obie strony walczące rywalizują ze sobą na punkcie technicznych ulepszeń środków walki, aby w ten sposób zapewnić sobie zwycięstwo. Powstały też w ciągu wojny nowe rodzaje broni, które naturalnie przeciwnicy starają się również zastosować u siebie. Tak stało się z „tankami“ (żółwiami pancernymi) wprowadzonymi po raz pierwszy do walki przez Anglików. Obecnie już armia niemiecka posiada tanki, podobnie zbudowane jak angielskie, lecz, jak twierdzą fachowcy wojskowi, znacznie ulepszone i bardziej skuteczne w działaniu. Illustracya nasza przedstawia oddział tanków niemieckich w drodze pod Reims.



Zgon matki księcia-biskupa krakowskiego: Pogrzeb ś. p. księżnej Jadwigi Sapieżyny (kondukt pogrzebowy w ulicy Basztowej).

Kronika tygodniowa.

I wysłuchały niebiosa gorących próźb Krakowian, pozbawionych swej codziennej lektury i dały im aż dwa *Kuryery*, jeden „codzienny illustrowany“, drugi „nowy krakowski“. Dopóki istniał tylko jeden, było wszystko w porządku, gdy jednak i drugi zapragnął oglądać światło dzienne, pokazało się, że zadużo dwa grzyby w barszcz. Warszawa ma wprawdzie i *Kuryera warszawskiego i porannego i świątecznego* i wszystkim jakoś dobrze na świecie, ale co Warszawa, to nie Kraków. Tutaj na dwa *Kuryery* miejsca za mało, a kieszenie Krakowian są zbyt ciasne.

Nic też dziwnego, że stary nasz znajomy *Illustrowany Kuryer codzienny*, zaledwie obudził się ze snu, który zdawało się, będzie wiecznym widząc noworodka, mającego te same, co i on, zamiary i to samo nawet, bo tylko z dodatkiem „*Nowy krakowski*“ nazwisko, chwycił się z nim z miejsca za bary i stanął do bratobójczej walki, nie pomnąc na zasadę: „gdyś sam już syty, nie broń drugiemu dostępu do misy“ zwłaszcza, że dla obu wystarczy.

Zaskrzypiały więc pióra, odezwał się szczęk nożyc dziennikarskich Krakowianie podzielili się na dwa obozy: „Kuryerowiczów codziennych illustrowanych“ i „nowych krakowskich“. I kto wie, czy prócz atramentu nie byłaby się i krew bratnia polała, zwłaszcza, że równocześnie widzialne były różne nadzwyczajne znaki na ziemi i niebie, jak aeroplan, sypiący kartki z zaproszeniem do podpisywania ósmej pożyczki wojennej (nieoświecony tłum był zdania, że to smok latający...), w Pradze skradziono publiczny... wychodek, a nawet Piava wystąpiła z brzegów. Dzięki Bogu przecież skończyło się na niczem, Kraków stoi na tem samem miejscu, na którem stał wtedy, gdy miał jednego tylko *Kuryera*, co najwyżej zaś drugiemu każą zaraz po urodzeniu zmienić nazwisko, co jest zresztą rzeczą zwykłą, prawie codziennie się powtarzającą i to nie tylko u nas w Galicyi, ale i w sąsiednich dzielnicach. Czytamy naprzykład w *Dzienniku poznańskim* (sam to widziałem na własne swe oczy...) iż odnośna władza zezwoliła pannie *Stanisławie Pierdnirok* zmienić nazwisko rodowe na *Eisermann*.

Tak się stanie czy inaczej, jeszcze nie wiem. Powstanie *Nowego Kuryera* a po nim podobno jeszcze jakiegoś tam *Nowego Dziennika* zadaje przecież kłam rozsiewanym wieściom o braku papieru. Że go nie brak, świadczy o tem taka moc papierowych pieniędzy, oraz wydawanie kart chlebowych, tłuszczowych, kawowych, mydlanych i innych. Marnuje się w ten sposób masę papieru i niepotrzebnie zabiera się czas różnym urzędnikom i urzędniczkom, zajętym ich rozdziałem. Czyż nie byłoby i lepiej i korzystniej, gdyby zamiast tego czytali sobie gazetę, bawili się rozmową, niechajby nawet flirtem, lub czyścili paznokcie...

Jakiś ekonomista, nie wiem nawet z którego pisma codziennego, powiada, że na usunięcie przykrych następstw braku papieru jest rada. Należy w pierwszym rzędzie zamiast pieniędzy papierowych wydawać złoto i srebro, zabronić wyrobu materyi ubraniowych z papieru, skoro jest od tego bawełna i wełna i tak dalej i dalej, czego jednak powtarzać nie mogę, gdyż kronika tygodniowa nie jest traktatem ekonomicznym. Jeżeli się pójdzie za jego wskazówkami, wystarczy papieru nie tylko dla dwu *Kuryerów* w Krakowie ale nawet dla całego ich tuzina. Niech się mnożą, jak grzyby po deszczu, by gospodarne panie miały pod ręką papier do celów praktycznych, choć pojawienie się tylu kolegów (i konkurentów... przyp. zecera) byłoby może nie na rękę a tembardziej i nie na kieszeń poczciwemu *Illustrowanemu codziennemu*, bo to, a nie co innego, jest właśnie powodem owej krucyaty, jaką „codzienny“ rozpoczyna przeciw „nowemu“.

Kto zwycięży i na jakie obozy podzieli się Kraków, przyszłość to okaże. Kronikarz zapytywał o zdanie w tym kierunku nawet owego miejskiego astrologa, który w gwiazdach czyta i wie o tem, co było i jest, a nawet czasem i o tem co będzie, ten mu jednak nie mógł dać żadnej konkretnej odpowiedzi. Zaznaczył tylko tajemniczo, że między 12 a 24 czerwca zdarzą się wypadki, które wpłyną na zmianę sytuacyi, ma się to zaś stać przy łaskawej pomocy ognia i wody.

Ponieważ ów astrolog jest funkcyonaryuszem magistratu, ma więc nad sobą przełożonych, ci zaś nie lubią żartować. Niech będzie zatem ostrożny, jeśli się bowiem nie spełni która z jego przepowiedni, może się bardzo łatwo doczekać dyscyplinarki lub czegoś podobnego.

Bardzo żałuję, że nie znam bliższego jego adresu, prosiłbym go bowiem, by swe proroctwa mnie komunikował, a ja, ubrawszy je należycie w słowa, puszczałbym je dalej w świat szeroki. Wiedziałby o nich więc i ogół, gdy na razie tylko urzędnicy magistratu i ich koleżanki powtarzają je sobie półgębkiem, zapewniając, że dotąd spełniły się co do joty.

Kto wie, czy magistrat w danym wypadku nie pomyślałby nawet o kreowaniu etatowej posady miejskiego astrologa, który jednak musiałby wówczas tak przepowiadać, jak mu każą, by się nie narażać na pociągnięcie do odpowiedzialności.

W każdym razie jest to sprawa pierwszorzędnego znaczenia i dlatego jej poświęcam odpowiednią wzmiankę.

Niejednokrotnie już zaznaczałem, że obecna wojna, choćby tylko ze względu na swą długość, tak już ludziom wyłazi bokiem, iż prawie każdy na nią narzeka, choć czyni to w innym, niż drugi tonie, i z zupełnie innej platformy zapatrując się na sytuacyę. Słowem, każdy i każda ma innego mola wojennego, co ich gryzie. Nigdy przecież nie zdarzyło mi się spotkać tylu na wojnę płaczących, co onegdaj. Jakby się zmówili, ten i ów wywodził przedemną swe żale, a ja musiałem ich wysłuchać cierpliwie.

W pierwszym więc rzędzie wielki agraryusz jęczał, że w takiej opresyi, w jakiej się znalazł obecnie, nie był nigdy od swego urodzenia. Powiadał, że na biednych „wozignojków“ wszystko się spiknęło, by im życie obrzydzić, począwszy od rządu i różnych centrali, a skończywszy na zwykłych zjadaczach codziennego, bezkartkowego chleba, skazanych na to, by się u nich zaopatrywali w różne artykuły spożywcze, wobec czego choć zrósł się z ziemią, którą uprawia, rzuci wszystko, a przeniesie się do miasta, gdzie w wojennym czasie, „z oszczędności“, zakupił już dwie kamienice, a teraz traktuje o trzecią. Spodziewa się, że tutaj wypocznie, gdyż, jak sam twierdzi, gospodarstwo rolne dziś się nie opłaca.

Te narzekania jakoś mi się wydawały dziwnemi wobec płaczów mego kamienicznika na garbaty los i ciężką dolę. W rozmowie ze mną wyraził się, że „kogo Pan Bóg chce ukarać za grzechy“, temu daje kamienicę, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy czynszów podwyższać nie wolno, a podatki coraz to większe.

— Niema to — mówił z przejęciem — jak rolnicy!... Ci robią obecnie milionowe interesy i obdzierają nas, biednych mieszczuchów, ze skóry. Gdybym bodaj trochę znał się na gospodarstwie, a znalazł nabywcę na mą kamienicę, sprzedałbym ją natychmiast, przeniósł się na wieś, tutaj sadził ziemniaczki, buraczki, groszek i tak dalej, doiłbym krówki, zbierał jajka i to wszystko przywoził do miasta i tutaj spieniężał po wysokich cenach... Odpocząłby sobie człowiek i przyszedł do siebie po trudach i kłopotach, z którymi na każdym kroku musi walczyć kamienicznik...

A muszę od siebie dodać, że jest to wzór poczciwego człowieka, który żyje według zasady „Módl się i pracuj“. Właśnie w tym czasie odmawia nowennę do św. Antoniego na intencyę zniesienia zakazu podwyższania czynszów, przytem strzyże kupony od obligacyi i wymienia je na gotówkę, za którą nabywa nowe realności i parcele, resztę zaś wolnego czasu obraca na użeranie się z administracyą podatkową, magistratem i lokatorami.

Gdym mu obwieścił, że w niedługim już czasie pojawi się rozporządzenie cesarskie, zezwalające na czterdziestoprocentowe podwyższenie czynszu, odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca i rzekł:

— Za tę dobrą wiadomość ja panu pierwszemu o dwadzieścia procent...

— Zniżę czynsz! — dodałem.

— Cóż znowu! — zawołał oburzony. — Czy mnie ma pan za waryata, bym nie miał skorzystać ze sposobności?... Nie, panie! Ja i panu podwyższę, ale na razie tylko o dwadzieścia procent, innym zaś lokatorom odrazu o całe czterdzieści!...

W zupełnem przeciwieństwie do tak zwanych wielkich agraryuszów stoją mali, to jest wieśniacy. Ci bynajmniej nie narzekają na to, iż im się praca gospodarska nie opłaca, ale łamią sobie nad tem głowę, na co wydać zarobione pieniądze. Jak powiedział jeden ze znających nasze stosunki na wsi, od stworzenia świata nie było jeszcze nigdy w wiejskiej chacie tyle pieniędzy, ile ich jest obecnie. Wieśniaczka, nosząca do mnie mleko, opowiedziała mi, iż onegdaj kupiła w którymś tam sklepie „na Brackiej“ szal za tysiąc dwieście czterdzieści koron i lamentowała, że droższego nie było. Coraz częściej spotyka się też nasze Kasie i Marysie z zębami, plombowanymi złotem, a od jednego z aptekarzy wiem, że one są właśnie najlepszemi odbiorczyniami na najdroższe mydła, perfumy i pudry.

Mój Boże!... Jak ta wojna wszystko do góry nogami wywróciła. Dawniej wieśniak śmiał się z miejskiego „krawaciarza“, gdy go widział myjącego się mydłem lub czyszczącego sobie zęby szczoteczką, dziś sam idzie w jego ślady.

Z kolei zdarzyło mi się spotkać i narzekającego na wojenne czasy „centralarza“, to jest pana, zajętego w pewnej centrali. Wiem z doświadczenia, iż wszystkim, służącym tym instytucyom, wymyślonym na utrapienie ludzkości, wiedzie się cudownie i byłem pewny, że każdy z nich prosi Pana Boga, by ta wojna trwała choć lat trzydzieści, jeśli nie dłużej.

Ale zawiodłem się. Ten właśnie, którego spotkałem, narzekał na swój los, utrzymując, że jest wyzyskiwanym, choć bowiem ma rzekomo naczelne stanowisko i *ex re* swego urzędu jest uwolniony od służby wojskowej, pobiera przecież tak śmiesznie niską płacę, iż, aby sobie módz od czasu do czasu pozwolić na kilkanaście deka kawiorku i buteleczkę oryginalnego Mumma, musi dokładać ze swych prywatnych funduszów.

Czy miał racyę, tego powiedzieć nie mogę, ale to już niejednokrotnie słyszałem, iż wszelkim „centralarzom“ wiedzie się doskonale, że opływają we wszystko, czego nam brakuje, pozwalają sobie też na takie zbytki, na jakie nas nie stać.

Sam już spotykałem poważnych panów i czcigodne matrony, oferujących na sprzedaż różne niezbędne do życia artykuły, a gdym zapytał, skąd do nich przyszli, gdy ja za nimi węszę bez skutku od dłuższego czasu, usłyszałem odpowiedź:

— Mam to od mojego kuzyna, który pracuje w centrali... Ponieważ zaś chwilowo tego nie potrzebuję, mogę zatem odstąpić po znajomości (no i naturalnie po... bardzo słonej cenie!...).

Do galeryi narzekających z tego lub owego powodu na wojenne czasy muszę zaliczyć i dwu mistrzów, jednego od nożyc (radca stanu, czyli krawiec), drugiego od kopyta. Spotkałem ich w oazie „pod Palmą“, narzekających na ciężkie czasy i zalewających robaka naturalnie nie oryginalnym Mummem, ale zwykłą szanpiturą. Ale ów szelma robak nauczył się już pływać i nic sobie nie robi z zabiegów swych prześladowców. Owszem, im więcej połkną wilgotności, tem swobodniej pływa i nurkuje.

— Bo to, proszę pana literaty — mówił krytyk Apellesa — na nas, rękodzielników, straszne nadeszły czasy. Narzekają ludzie, że za parę kamaszków żąda się pięćset koron, a ja daję panu słowo, że jeśli policzę, to ledwie wyjdę na swojem!.. Centrala daje niby to skórę, ale tylko na papierze. Trzeba kupować z boku po wysokich cenach. A ile człowieka kosztuje utrzymanie!... Kamienicznik drze, rolnik drze, podatki trzeba płacić, nic też dziwnego, że wszystko musi się odbić na konsumencie!...

— Tak! Kolega ma racyę — pan radca stanu na to. — Przecież my nie będziemy dopłacać z własnej kieszeni. Kto chce mieć trzewiki lub ubranie i nie chodzić po świecie z gołą głową, niech płaci!... I my jesteśmy ludźmi i my mamy swe potrzeby.. Czytał pan zresztą co było w tej szmacianej centrali, więc nas chyba nie może pan winić!...

Częściowo przyznałem obydwu panom racyę, są bowiem nieraz w trudnem położeniu, ale przecież nie w takiem, by żywcem drzeć skórę z bliźniego i pomyślałem sobie, jak to dopiero musi narzekać na swą dolę urzędnik, choćby nawet o złotym kołnierzu, mający niechajby i tysiąc koron miesięcznej płacy, a obarczony liczną rodziną, której trzeba dać mieszkanie, jedzenie i ubranie, nie mówiąc już o jakichkolwiek przyjemnościach. Ten ma chyba słuszny powód do narzekań i może o sobie powiedzieć, iż jest sztukmistrzem życiowym, jeśli potrafi związać koniec z końcem i zamknąć budżet miesięczny zerem, a nie deficytem. Ci jednak jakoś najmniej narzekają, bo i cóż im to pomoże?... Nie mają na to zresztą nawet i czasu, musząc staczać na każdem kroku walki o byt z swymi prześladowcami, do których śmiało można zaliczyć całą galeryę owych typów, o jakich wyżej wspomniałem. Tym jest dobrze, ale jęczą głośno, by oddalić od siebie nawet pydejrzenie, że im się może nieźle powodzi, biedny urzędnik znosi swój los z poddaniem, siedzi cicho i czeka uwolnienia z tej opresyi, gorszej stokroć, niż ongić babilońska niewola.

Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym bodaj na samym końcu kroniki nie pomieścił jeszcze jednego narzekającego. Ten płacze, ilekroć zaczynają w powietrzu fruwać „jaskółki pokojowe“, a ceny towarów w ślad za tem spadać.

Każdy się zapewne już domyślił, że to „paskarz“, czyli „handlarz łańcuchowy“, robiący na wojnie doskonałe interesy i proszący Boga, aby ona, jeśli nie będzie mogła trwać wieki, była choćby tylko trzydziestoletnią, a on dorobił się już raz upragnionego miliona, jeśli go zaś już posiada, to drugiego.

On narzeka tylko wtedy, gdy inni zaczynają nabierać otuchy.

Z tygodnia.

Otwarcie Rady Stanu.

Dnia 22. czerwca odbyła się w Warszawie uroczystość otwarcia Rady Stanu. Po uroczystem nabożeństwie w katedrze św. Jana członkowie Rady Stanu zebrali się na Zamku królewskim. Około godziny dwunastej zjawiła się na sali Rada Regencyjna, a książę Lubomirski odczytał mowę tronową.

W mowie tej Rada Regencyjna wyraża przekonanie, że Rada Stanu przeprowadzi ordynacyę wyborczą do sejmu, oraz „rozważy projekt ustawy wojskowej“. Oprócz tych dwu ważnych spraw będzie się musiała Rada Stanu zająć kwestyą ustroju administracyi i organizacyi skarbowej, oraz pilnemi sprawami gospodarczemi i społecznemi.

Gdy ks. Lubomirski odczytał mowę, ks. biskup Kakowski otworzył pierwsze posiedzenie Rady Stanu, poczem p. Ostrowski zwrócił się z kolei do marszałka Rady Stanu, p. Pułaskiego, wzywając go, aby złożył Radzie Regencyjnej przyrzeczenie wierności.

Po złożeniu owego przyrzeczenia wzniósł p. Puławski okrzyk: „Niech żyje Polska“.

Na tem zakończyła się uroczystość otwarcia Rady Stanu.

Dnia następnego odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Stanu, na którem marszałek Puławski wygłosił wielką mowę inauguracyjną. Na drugiem zaś z kolei posiedzeniu prezydent ministrów, p. Steczkowski, wygłosił expose rządu, po którem nastąpiły deklaracye wszystkich stronnictw i grup, reprezentowanych w Radzie Stanu.

Planowany przez p. Studnickiego „zamach stanu“ w Warszawie.

Korespondent warszawski krakowskiego „Naprzodu“ nadesłał temu pismu sensacyjne rewelacye o planowanym jakoby przez p. Studnickiego „zamachu stanu“ w Warszawie. Nieprawdopodobne te rewelacye, brzmiące prawie humorystycznie, podajemy na odpowiedzialność „Naprzodu“.

Korespondent zapewnia, że utworzył się w Warszawie „komitet ocalenia publicznego“, a p. Studnicki przedsięwziął z jego ramienia akcyę następującą:

„Zwrócił się do niejakiego Cz. Zb., znanego mu z czasów pierwszej rewolucyi rosyjskiej i zaproponował mu techniczne wykonanie akcyi. Cz. Zb., członek P. O. W. zameldował o tem Komendzie Naczelnej, która mu wydała rozkaz prowadzenia pertraktacyi z p. Studnickim, uważając, że tylko tą drogą da się uzyskać materyał konieczny do zdemaskowania zbrodniczych knowań.

Istotnie rozpoczęły się pertraktacye, które były prowadzone w ten sposób, że upoważnieni przez P. O. W. członkowie organizacyi stale byli przy nich obecni (ma się rozumieć bez wiedzy Studnickiego).

Studnicki pierwotnie proponował usunięcie ks. Chelmickiego, później zaś przedstawił cały plan w sposób następujący: Kilku ludzi uzbrojonych wdarłoby się do regentów Ostrowskiego i Kakowskiego i zmusiłoby ich do rezygnacyi. Gdyby się nie zgodzili, trzebaby było ich usunąć. Następnie udanoby się do ks. Lubomirskiego i zmuszonoby go do rezygnacyi na rzecz obcego czynnika. Studnicki zapewniał, że podjął się przeprowadzenia całej sprawy w porozumieniu z całym szeregiem osób, które wzięły na siebie odpowiedzialność za zamach i miały wyłonić nowy rząd z p. M., wybitnym działaczem z Litwy na czele. Pieniędzy na broń, mieszkania konspiracyjne miał dostarczyć obywatel ziemski, aktywista S. Ponieważ ten ostatni chwilowo był nieobecny, przeto Studnicki dostarczył pieniędzy na pierwsze potrzeby z „funduszu narodowego“. Wszystkie dane, dostarczone przez p. Studnickiego, zostały zanotowane stenograficznie. W najbliższych dniach mają one być ogłoszone ze wszystkiemi szczegółami i nazwiskami“.

W uzupełnieniu powyższych szczegółów „Naprzód“ w następnym numerze donosi:

Na czele zamachu stał p. Władysław Studnicki, książę Maciej Radziwiłł, książę Drucki Lubecki, obywatele p. Suski, urzędnik ministeryum pracy Król. Pol., p. Ludwik Kulczycki, (były wódz t. zw. „Proletaryatu“), przy współudziale grupy reprezentowanej przez pułk. Berbeckiego.

Ten ostatni oświadczył p. Studnickiemu, według jego własnych słów: „Szabla nasza jest do dyspozycyi“. Pułkownik Minkiewicz, dowódzca brygady z Ostrowia i Zegrza, miał odmówić udziału w tej akcyi.

W czasie przeprowadzania samego aktu zamachu, posterunki i oddziały polskie w razie alarmu nie miały się ruszyć z miejsca. Tak samo broni celem wykonania zamachu miały dostarczyć obozy z Ostrowia.

Celem porozumienia się z miarodajnymi czynnikami książę Maciej Radziwiłł wyjeżdżał za granicę.

Po wykonaniu zamachu, t. j. po „usunięciu“, według własnych słów p. Studnickiego, regenta ks. arcybiskupa Kakowskiego i sekretarza generalnego Rady Regencyjnej, księdza Chelmickiego, miano się udać do regenta Ostrowskiego i tego groźbą broni zmusić do „abdykacyi“.

Rząd powołany po udatnem dokonaniu akcyi mieli stanowić: premier — Meysztowicz, kresowiec z Wilna, sprawy zagraniczne — Maciej Radziwiłł, sprawy wewnętrzne — Władysław Studnicki, skarb Drucki Lubecki.

Zaznaczyć należy, że według wyjaśnień, jakich w tej sprawie udzielił warszawskiemu „Przeglądowi Por.“ sam p. Studnicki, cała powyższa historya powstała na tle jego słów, które wypowiedział... żartem. Jest to może rzeczywiście najtrafniejsze określenie nie tylko powyższego „zamachu stanu“, ale całej wogóle działalności politycznej p. Studnickiego.

Trocki prowokatorem carskiej „ochrany“.

„Golos Kijewa“ ogłasza sensacyjne szczegóły z życia bolszewickiego komisarza do spraw zagranicznych w Rosyi Trockiego (Bronsztejna), podane przez głośnego niegdyś działacza rewolucyjnego Chrustalew-Nosara w piotrogradzkim sądzie okręgowym. Mowę powyższą Chrustalew ogłosił obecnie drukiem wraz z przedmową p. t.: „O tem, jak Lejba Trockij Rosyę sprzedawał“.

„Prawie jednocześnie z Azeffem wstąpił Trockij-Bronsztejn jako sekretny informator do departamentu policyi. Jak i on na tem nie poprzestał. Azeff zajął się fabrykowaniem zamachów terorystycznych, Trockij Bronsztejn do sekretnej godności członka ochrany przyłączył godność agenta sztabu generalnego mocarstw obcych, zasypując transporty socyalno demokratycznej literatury, przewożonej ze Szwajcaryi do Rosyi.

Z tego powodu nad Trockim Bronsztejnem roztaczał opiekę departament policyi w Rosyi, ratując go od aresztów i ułatwiając ucieczkę za granicę. Po wybuchu wojny popisowemu Trockiemu Bronsztejnowi pomożono uciec z Austryi. Za swe różnorodne prace pobierał pieniądze od departamentu policyi, od „obcopaństwowej“ służby kontrwywiadowczej i z kasy partyjnej. Departament policyi stworzył dla niego, równie jak i dla Azeffa, stanowisko wyjątkowe w kołach partyjnych.

Na pytanie, „czy jest dowiedzionem, że L. Trockij jest prowokatorem i szpiegiem?“ odpowiada autor: „Tak, jest dowiedzione, chociaż w podobnych wypadkach nie można liczyć na ścisłość matematyczną. Dowiedzionem jest, twierdzi autor: 1) że Trockij-Bronsztejn w roku 1905 z polecenia departamentu policyi swą taktyką lewicową przeszkodził do porozumienia się z absolutyzmem na gruncie monarchii konstytucyjnej, 2) że L. Trockij Bronsztejn z polecenia generalnego sztabu obcego mocarstwa przyczynił się w listopadzie 1905 roku do rozdmuchania ekscesów rewolucyjnych i zaburzeń“.

Autor udowadnia, że Trockij prowokował powstanie w Moskwie w 1905 roku, a następnie dopomógł rządowi do stłumienia ruchu, w roku 1906 wydał rządowi zamiar ucieczki z więzienia członków rady robotniczej, w roku 1907 doniósł o zamierzonej ucieczce Chrustalewa Nosara i tylko dzięki wypadkowi ucieczka się udała; że będąc na wygnaniu w Syberyi Bornsztejn wydał posłańca partyjnego, a w roku 1903—1913 po ucieczce, za pomocą policyi miał stałe stosunki z agentem departamentu policyi.

Z półek księgarskich.

We Wiedniu ukonstytuował się Komitet, który pragnie dzieje wychodźtwa polskiego w latach wojny — utrwalić w pamiątkowej księdze. Obszerne to dzieło, zawierać będzie przedewszystkiem szereg listów i pamiętników wychodźców polskich, ich przeżycia na tułaczce.

Komitet zwraca się zatem za pośrednictwem pism polskich do Rodaków, którzy tułaczkę w latach wojny przebyli, by zechcieli opisać nam przeżycie i wspomnienia z wygnania, oraz wrażenia po powrocie do domów rodzinnych.

Pozatem zawierać będzie „Księga pamiątkowa wychodźctwa polskiego“ liczne ilustracye i opisy działalności instytucyi i komitetów dla ulżenia doli wychodźców.

Ponieważ „Księga pamiątkowa“, z powodu braku papieru, tylko w ograniczonym wyjdzie nakładzie, radzimy wcześniej zamawiać.

Księga kosztuje z wysyłką K 5.

Adres wydawnictwa: Księga pamiątkowa wychodźctwa polskiego, Wiedeń II., Cirkusgasse 36/5.

Walka Galicyi z centralizmem wiedeńskim. Pod tym tytułem wyszła z druku nakładem „Wydawnictwa Polskiego“ we Lwowie książka dr. Ireny Pannenkowej, traktująca o dziejach sławnej rezolucyi Sejmu galicyjskiego z 24 września 1868 r. Obok sumiennego opracowania rzecz odznacza się żywem i barwnem ujęciem przedmiotu i charakterem osób działających. Ze względu na wysoką aktualność tematu i wiele analogii z sytuacya obecną, autorka dedykuje pracę swoja „Kołu polskiemu“ w Wiedniu.

Książka wydana została nader starannie. Oryginalna, pomysłowa okładka znanego artysty, Wł. Witwickiego, uległa niestety częściowej konfiskacie, wskutek czego w rysunku powstała luka. Nadto zdobią książkę liczne illustracye, odbite na najlepszym kredowym papierze, w ich liczbie portrety wszystkich wybitniejszych polityków polskich z przed pół wieku oraz świetne karykatury polityczne z ówczesnego „Szczutka“, karykatury, które przeważnie po dziś dzień zachowały całą swą żywotność i aktualność.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.